



Kryminał z myszką

10

TRUJĄCA MGŁA

DR JERZY KOSTRZEWA
PROWADZI ŚLEDZTWO

T a d e u s z
K o s t e c k i

Tadeusz Kostecki

TRUJĄCA MGŁA

Kryminał z myszką – Tom 10

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-51-9

Copyright © Jerzy Tadeusz Czaplicki

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

ROZDZIAŁ I

Komendant Maciąg upił skąpy łyk, stwierdzając, że kawa zdążyła tymczasem ostygnąć do reszty. Ale gdy Anastazja wsiadła na swego ulubionego konika, wszystko inne schodziło siłą rzeczy na dalszy plan.

– Sądzę jednak – powiedział ostrożnie – że zarabiamy uczciwie na nasz chleb... – o mało nie dodał „powszedni”. Biblijny styl Anastazji był nieodparcie zaraźliwy. Sama zresztą wysoka, koścista, w czarnej, miejscami zrudziałej sukni i o zakrzepłych, jakby zamrożonych rysach zbrudzonej głębokimi zmarszczkami twarzy, sprawiała wrażenie postaci z zamierzchłych czasów, która dziwnym przypadkiem powróciła na ziemię.

– Judasz też donosił ziemskiej władzy o tajemnicach innego człowieka. I też otrzymywał za to zapłatę. Być może, w swoim przekonaniu uważał, że zarabia uczciwie na swój chleb. Do czasu...

Maciąg odstawił filiżankę na spodek.

– Sądzę – spróbował nadać rozmowie lżejszy ton, że w tamtej epoce musiała tak samo działać jakaś organizacja policyjna. Inaczej, hm... mordercy nie pozostawiliby nikogo na rozplódek.

– Judasz...

Potrząsnął głową.

– Nie jego przecież miałem na myśli.

– Sumienie – głos jej był chropowaty i skrzekliwy – jest policją duszy ludzkiej, a Bóg najwyższym sędzią sumień.

Zofia spojrzała z niepokojem. Rozmowa wkraczała na coraz bardziej śliskie tory. Zenon przecież nie ukrywał swego stosunku do zagadnień religijnych. Matka zaś pod tym względem nie uznawała żadnych kompromisów. A jakakolwiek ostrzejsza scysja pomiędzy nimi mogła doprowadzić w sytuacji, jaka powstała ostatnio, do jak najgorszych komplikacji. I bez nich nie było łatwo. Maciąg jednak wykrzywił wargi w przymuszonym uśmiechu, chrząknął w sposób jak najbardziej nieokreślony i wlepił wzrok w sufit, kontemplując bez reszty zawile arabski gipsowy plafonu.

Myślał zresztą w tej chwili o tym samym, tylko w nieco odmiennej formie: „lepiej nie zadzierać ze starą wariatką, diabli wiedzą, co jej nagle może strzelić do głowy”.

Teofil mieszał machinalnym ruchem fussy osiadłe na dnie filiżanki.

Przy stole panowała jakaś trudna do zdefiniowania atmosfera stałego napięcia. Odczuł ją zresztą od razu, gdy po raz pierwszy wziął udział we wspólnym posiłku. Ale od tego czasu wieczór po wieczorze...

Czyż tu w ogóle nigdy nie bywa inaczej? To nie należało do specjalnych przyjemności.

Przesuwał powoli wzrokiem wzdłuż stołu. Dziwny dom i dziwni ludzie. Może nawet niektórzy więcej niż dziwni.

Wiktor jak zawsze z nieobecną twarzą. Nisko pochylony, jakby nie był w stanie udźwignąć ciężaru garbu wyraźnie zarysowanego pod marynarką. Końce palców kreśliły zwolna po obrusie. Równania? Wzory? Symbole chemiczne? Chyba nie ma chwili, w której przestawałby na dobre rozmyślać o tym swoim zwariowanym wynalazku. Można by przysiąc z czystym sumieniem, że ani jedno słowo z zewnątrz nie dotarło do jego świadomości.

Stryjenka Anastazja. Coś w rodzaju jędzy czy czarownicy. Można by ją z powodzeniem umieścić jako naczelny eksponat w muzeum okropności. Zachowanie zresztą w zupełności odpowiadało wyglądowi. Chyba niezupełnie normalna. Mania na tle religijnym czy coś w tym rodzaju. Ba... w jej wieku. Ile ona właściwie miała lat? Siedemdziesiąt? Siedemdziesiąt pięć? A może i znacznie mniej. To, że była tak zniszczona, jeszcze niczego nie dowodziło. Wiedział przecież, jak niezmiernie ciężkie wiodła życie. Ale jeżeli chodziło o energię i charakter... Niekiedy przybierała wprost dyktatorskie maniery. Szczególnie w nieobecności

męża. Bo on... No, trudno uwierzyć, by Jan Sieński zniósł obok siebie jeszcze innego dyktatora.

Komendant miejscowej MO, Maciąg, z głupią miną oglądał sufit. Ale on jeden jedyny z całego towarzystwa sprawiał mniej więcej normalne wrażenie. Bo reszta jakby nie pasowała do własnej skóry. Irena, Zofia, Wiktor. Rodzeństwo od urodzenia przebywające obok siebie w tym samym domu. Ale któż by w to uwierzył, gdyby nie wiedział dokładnie? Jakby każde nie tylko z innych rodzin, ale nawet z zupełnie odmiennych środowisk.

Irena?... Musiała już dawno przekroczyć czterdziestkę i w zupełności na to wyglądała. A przecież wciąż usiłowała z siebie robić „kociaka”. Krzykliwa elegancja, fryzura zawsze skopiovana z ostatniego magazynu, jaki jej wpadł w ręce, twarz pokryta nawarstwionymi pokładami jaskrawej szminki. I te jej niby to zalotne minki. Pasowało jak... Szczególnie w zestawieniu z wiecznie ponurym wyrazem oczu. Jakby stale o coś miała pretensje do całego świata.

Zofia chyba jest o dobrych parę lat młodsza. Zupełna abnegatka pod względem wyglądu. Za to uśmiech jej był szczery, a w oczach często błyskały isierki niewymuszonej wesołości.

Tylko że i na nią przychodziły chwile, w których przybierała postać kłującego ostu. Bez kija nie podchodź w takich momentach. Jakaś niezbyt przyjemna tajemnica życiowa? Bardzo właśnie na to wyglądało.

W palcach doktora Rylskiego migotał nikiel zapalniczki. Jeszcze chyba nigdy nie widział beczynnych rąk tego człowieka. Figura workowata, lat około pięćdziesiąt, dalekie zagony łysiny biegnące od skroni. A jednocześnie kusa marynarka, obcisłe spodnie i półbuty na grubej słoninie. Niewątpliwy wpływ Ireny. Ciekawe, czy również w tym stroju przyjmuje swoich pacjentów?

Istne panopticum. Skoro jeszcze do kompletu przybędzie stryj Jan...

No, ten...

Na piętrze trzasnęły drzwi. Jeszcze parę chwil i u górnego stopnia szerokich, pokrytych wytartym kokosem schodów zaczerniała wysoka posiać. Odgłosowi ciężkich kroków wtórował miękki plaskot gumowego zakończenia laski.

Wiktor drgnął nerwowo, spojrzał na ojca, w tej samej jednak chwili skierował wzrok ku oknu. Nagle zaostrome rysy świadczyły, że musiał dojrzeć za nim coś, co go wytrąciło z równowagi.

Uśmiech na wargach Zofii zgasł jak zdmuchnięty.

Maciąg potarł podbródek. Miał minę człowieka przestępującego próg gabinetu dentysty.

Po twarzy Ireny przemknął trudny do odcyfrowania skurcz. Głowa jej opadła.

Na powierzchni zapalniczki w palcach doktora Rylskiego zagrały szybkie błyski.

Teofil stłumił westchnienie. Atmosfera przy stole groziła ostatecznym zagęszczeniem.

Tylko Anastazja trwała w dostojnym bezruchu. Może nie zauważyła męża, może nie chciała go zauważyć?

Jan Sieński począł wolno zstępować po stopniach. Posiłek już dobiegał końca, ale dla niego nie istniały wyznaczone przez kogo innego godziny.

Nie trudno było określić jego charakter nawet po bardzo krótkiej obserwacji: despota w najbrutalniejszym tego słowa znaczeniu.

Anastazja nie odrywała ostrego spojrzenia od Maciąga.

– Sprawiedliwość ludzka – ciągnęła takim tonem, jakby nic nie przerwało wątku jej myśli – jest omylna. Ale sprawiedliwość Boska zawsze dosięgnie w końcu winowajcę. Choćby po wielu dziesiątkach lat. Zawsze!

Maciąg milczał. Ależ drewniana piła!

ROZDZIAŁ II

Nie wiadomo kto krzyknął pierwszy. Później krzyczeli już wszyscy.

Jan Sieński nagle przystanął, jakby uderzywszy o niewidzialną przeszkodę, chybnął gwałtownie i runął twarzą naprzód.

Ciało miękko podskakiwało, objając o kanty stopni.

Huk, brzęk i znowu górujący ponad wszystkim czyjś przeraźliwy krzyk. Zanim zdążyli dobiec, było już po wszystkim.

Doktor Ryłski przypadł ku zmiętoszonej postaci, której głowa wbiła się w kant ciężkiego żelaznego koszyka na węgiel. Coś manipulował, mruczając niezrozumiale pod nosem.

– Kto tu postawił to przeklęte żelastwo!? – wrzasnął Maciąg. Irena wczepiła kurczowo obie ręce w rzeźbiony słup podtrzymujący poręcz. Przyłgnęła doń całym ciałem. Sylwetka jej przypominała niedbale zawieszony łachman, który zdmuchnie najłżejsze tchnienie.

Zofia biegła bez sensu, jakby porażona nagłą kontuzją.

– Bandaże... gaza... w apteczce – powtarzała w kółko.

Krzesło Wiktora odleciało z hałasem. Uczynił jakiś ruch w kierunku okna i dopiero potem pobiegł ku schodom.

Anastazja wyciągnęła ramiona.

– Jaanku!... – zupełnie jakby nie jej głos. Potem przesłoniła twarz rękoma. W zapadłą ciszę wtargnął odgłos gwałtownego szlochu. Ale to chyba nie ona. Gdy odjęła ręce, oczy jej były całkiem suche. Świeciły gorączkowym, jakby nieprzytomnym ogniem.

– Ręka Boża!...

Teofil łykał ślinę. Do gardła podchodziły natrętą falą torsje.

Krew... tyle krwi... wszędzie. I ten chrzęst usłyszany przed chwilą.

Czaszka?

Doktor powstał ociężale.

– Tu już nic... – trzymał obie dłonie daleko od siebie, Teofil starannie unikał patrzenia na rdzawe plamy wyrosłe pomiędzy rzadkim rudawym włosem, porastającym grzbiety jego rąk.

– Na miejscu? – głos Maciąga chropowaciał chrypką.

– Niestety... Z takiej wysokości... I to żelazo...

Maciąg przesunął palcami po oczach. Był niezmiernie blady.

– W takim razie... – ruszył w kierunku telefonu.

– Zenonie!

W pierwszej chwili ani mu nawet przez myśl nie przeszło, że to do niego. Nigdy dotychczas nie nazywała go w taki sposób.

– Zenonie! – powtórzyła przenikliwie.

Przystanął.

– Co zamierzasz uczynić? – podeszła ku niemu, zastępując drogę.

– Ja... hm... trzeba dać znać. Niezmiernie mi przykro, ale...

– Mają go poniewierać po śmierci?

Wzrok przeźroczystych, pozbawionych wyrazu oczu mieszał go coraz bardziej. Jakby sama była też martwa.

– Ale... Ja przecież rozumiem... Że dla pani... Dla nas wszystkich... Tragedia... hm... tak... Ale jeżeli chodzi o przepisy... Wypadek zakończony śmiercią, więc...

– Ręka Boża! – przerwała takim tonem, że do reszty stracił kontenans. Makabra! Nie próbował nawet dociekać znaczenia jej słów. Nawet w zwykłych okolicznościach nie zawsze ją rozumiał. Z jakąś klepką musiało być nie w porządku. A tu... Każdy by stracił głowę. Nie bardzo wiedział, co robić. W grę wchodziło nie tylko współczucie. Istniało wiele względów,

dla których nie chciał rozdrażniać starej Sieńskiej. Znał ją aż nadto dobrze. W razie czego nie będzie na nic zważać. A wciąż nie potrafił rozgryźć, ile właściwie wiedziała. Może i wszystko?

Obowiązek... Zresztą gdyby go nawet pominąć. Cóż... Chodziło właściwie o czystą formalność. Sam przecież był naocznym świadkiem. Interwencja trzeciej osoby nie mogła być w ogóle brana pod uwagę. Oczywisty wypadek. Ale jeżeli on nie złoży doniesienia, będą musieli uczynić to inni. A wtedy...

Doktor Ryłski jakoś bokiem szedł ku drzwiom.

– Stefanie!

Przystanął, choć i jego nie nazywała dotąd nigdy po imieniu.

– Dokąd?

– Ja, hm... tylko umyć ręce.

– Umyć! Nie wszystko można z siebie zmyć – powiedziała to w taki sposób, że przygasł.

– Cóż ja... Dopóki żył... ale teraz...

– Słyszałeś, co chce uczynić ten policjant?

– Jja...

– Będą krajać to nieszczęsne ciało?

– Przepisy.

Tupnęła nogą.

– Nie pozwolę! Rozumiecie? Powiedziałeś „dopóki żył”. A ja ci powiadam, że dopóki żył, mogliście go choćby i ćwiartować. Ale teraz wara od niego! Jest już w rękach Boga!

Przygryzł wargi. Stara wariatka! Ale właśnie przez to tym niebezpieczniejsza. Zerknął ku Maciągowi. Miał minę nie pasującą do munduru oficera milicji. Jego też zapędziła w ślepy zaułek. Ależ sytuacja! Żeby to wszyscy diabli!...

Podeszła, stając tuż przed nim.

– Pomyśl – uderzyła twardym spojrzeniem – zbierz swój dowcip. Nie brakło ci go przecież w innych okazjach.

Przesunął końcem języka po nagle zaschłych wargach. To już zabrzmiało wyraźną groźbą. Czuł, jak na czoło występuje pot.

Znowu spojrzał na Maciąga.

– Cóż... prawdę mówiąc... mógł umrzeć na serce, zanim spadł ze schodów – powiedział z namysłem.

Maciąg podniósł powoli głowę.

– A... – odsapnął z wyraźną ulgą – to zmieniałoby postać rzeczy. Stwierdzacie więc, doktorze, że tak było?

– Ja... tego nie wykluczam.

Wzruszył szorstko ramionami. Ślimak! Ledwo zaryzykował wystawienie różków, już czym prędzej chowa je z powrotem. Ale w tym wypadku nic z tego.

Albo, albo...

– Nie wykluczam? – przeciągnął. – Sami rozumiecie, że to mało. Jeżeli wystawicie urzędowe zaświadczenie zgonu, stwierdzając jako przyczynę atak serca, wszystko w porządku. Ale jeżeli nie...

Twarz Anastazji zawisła nad doktorem. Ostre rysy i długi nos nadawały jej dziwne podobieństwo do czyhającego na łup sępa.

– Napiszesz to zaświadczenie? Prawda?

– Napiszę! – warknął przez zęby. Po czym dodał już zupełnie rzeczowym tonem – tym więcej, że są wszystkie ku temu podstawy. Stan serca, który stwierdziłem wczoraj w czasie badania... I charakterystyczne stężenie twarzy w momencie upadku. Tak – głos brzmiał coraz pewniej – niewątpliwie exitus nastąpił przed upadkiem.

Maciąg wsunął obie ręce do kieszeni mundurowej kurtki. Gadaj zdrow! Skoro jednak domowy lekarz zmarłego wystawi świadectwo o naturalnym charakterze zgonu, czegoż potrzeba więcej? Stokroć zresztą lepiej, że tak. Śledztwo w tych warunkach nie dałoby nic. A tak czy inaczej stary Sieński wylądował u stóp schodów martwy.

ROZDZIAŁ III

Teofil aż ochrypnął od gadania. Nieraz, choć to nie bardzo wypadało delegatowi ministra, podnosił głos niemal do krzyku. Co oni sobie właściwie wyobrażają? Zakłady miały ruszyć z produkcją najdalej za tydzień, a tu bałagan nie z tej ziemi. Tak wszystko pokręcone, że sam czart by nie rozeznał. Wyczuwał przez skórę jakieś ciemne machinacje. Protokoły o robotach, których na pewno nikt nigdy nie oglądał na oczy. Nieśmiertelny trick z niwelacją i późniejszym wyrównywaniem terenu przez nawożenie ziemi. Listy płac podjeżdżały niewyraźnym zapaszkami. Nie zatrudniano jeszcze tylu ludzi, by brak kilkunastu utonął w tłumie.

Nie tracił jednak czasu na rozszyfrowanie tych historii. Nie do niego należały, zresztą kto by tam doszedł prawdy!

Ale rozruch!

Wiceminister telefonował niemal codziennie. I też nie bardzo przebiegał w słowach. Dziś tylko czekać. Spojrzał na zegarek i sięgnął po płaszcz.

– Gdyby był telefon z Warszawy, powiedzcie, że jestem w terenie.

Naczelnym mechanik zmrużył porozumiewawczo oczy.

– Jasne!

Dyspozytor podbiegł skwapliwie.

– Zaraz powiem, żeby samochód...

Machnął ręką.

– Nie trzeba. Pójdę pieszo. Mam do załatwienia parę spraw po drodze. Zresztą może jeszcze wrócę – rzucił przez ramię. Nie miał najmniejszego zamiaru, ale to robi dobre wrażenie. Licho wie, czy minister nie miał tu jakichś swoich zauszników. Drogę do bramy odbył w szybkim tempie, w obawie zawrócenia. Niby to obiecali, ale na dźwięk słowa „minister” – większość całkiem baranieje.

Potem zwolnił kroku. Przez parę ostatnich dni siedział w biurze do późna. Nie tyle zresztą z powodu nadmiaru pracy, ile wskutek niechęci do pogrzebowej atmosfery panującej w domu. Świece, katafalk, trumna i wreszcie nieboszczyk królujący na środku obszernego hallu. To bynajmniej nie stwarzało przyjemnego nastroju.

Wprawdzie czyjeś troskliwe ręce ułożyły jedwab wokół jego głowy w taki sposób, że nie widać było zmiażdżonej czaszki. Ale ta świadomość...

Teraz na szczęście wszystko już należało do przeszłości. Wczoraj odprawiano z pompą ceremonie pogrzebowe i dom powracał do normalnego wyglądu.

Przystanął przed witryną małej kawiarenki „Basia”, którą często odwiedzał po drodze. Przez zakurzone szyby dojrzał puste stoliki.

Ekspedientka, panna Jola, podejrzewał zresztą, że na domowy użytek nosi znacznie mniej dźwięczne imię, była wcale nienajgorsza. Szczególnie jak na takie miasteczko.

Na dźwięk potrąconego drzwiami dzwonka znad kontuaru strzeliło spojrzenie lśniących oczu.

– Ooo... pan dyrektor – rozchylone zalotnym uśmiechem jaskrawo wymalowane wargi ukazały drobne ząbki – tak wcześniej?

Głos nieco afektowany. Ale nie można wymagać cudów.

– Wcześniej? – zmarszczył żartobliwie brwi. – Widzę, że panna Jola chciałaby mnie skazać na wieczne przykucie do biurka. Ale wtedy czyż mógłbym odwiedzić tak miłą, hm... „Basię?”

Wybrał najbliższy kontuaru stół, co zresztą czynił za każdym razem.

– Jak zawsze? – w pytaniu zabrzmiało coś intymnego.

– Tak... A czy pani pamięta?

– Jakże! Kawa ze śmietanką i dwa tortowe. Czyż nie tak?

Zaklaskał w dłoń.

– Brawo! Co za fenomenalna pamięć! Tylu klientów i mieć w główce, co każdy z nich...

– O, przecież nie każdy... – zaoponowała z urazą.

– Tylko niektórzy?

Złociste, chyba nieco rozjaśnione loki zawisły nad paterą z ciastkami. Nie odpowiedziała.

– Wybrani? – nalegał.

Niski zmysłowy śmiech.

– Pan dyrektor chciałby za dużo wiedzieć. I za... prędko...

Brzęknął dzwonek. Weszła jakaś całkiem młodzięcza para.

Potem kilka osób naraz. Mało już było sposobności do rozmowy.

Zdołał jednak wyczuć, że propozycja spotkania po zamknięciu kawiarni nie oburzyłaby jej w najmniejszej nawet mierze.

Spojrzał dyskretnie na zegarek. Prawie trzy godziny?

Nie, nie wytrzymałby tak długo w ciasnym lokalu, gdzie z każdą chwilą było coraz tłoczniej i gwarniej. Psychiczne zmęczenie, zupełnie chyba zrozumiałe po tego rodzaju przejściach.

Choć stryj Jan był dla niego niemal obcy, to jednak cała ta historia...

W głosie ekspedientki, gdy odpowiadała na pożegnanie, brzmiał ledwo ukrywany zawód. No, może innym razem. Teraz spać...

Niewiele spał przez ostatnie noce. Zapach więdnących kwiatów, rozgrzanego wosku i kopących knotów nie pozwalał ani na chwilę zapominać o sąsiedztwie katafalku. Niby głupstwo, gdy jednak nerwy roztrzęsione...

W hallu już wszystko było uprzątnięte, ale pomimo pootwieranych na oścież okien resztki pogrzebowych woni snuły się po kątach.

Jaśniejsza plama na posadzce przed pierwszym stopniem schodów.

Odrzucił z odrazą wzrok. Cóż, jeśliby brać dosłownie opowieści o dziejach tego domu w czasie okupacji, to chyba nie można by znaleźć miejsca nie zbroczonego krwią.

Ale tamto było dawno i nie widział tego. Opowieść to nie to samo co scena, która ma miejsce tuż przed oczyma. Zresztą ludzie nie żałują przesady, gdy mowa o wszelkiego rodzaju okropnościach.

W korytarzu było zupełnie ciemno. Zaczepił o coś nogą i zaklął. Ostatecznie mogliby dać jakąś małą żaróweczkę. Ponastawiali tu pełno jakichś starych koszy, połamanych rowerów i lichy wie czego jeszcze. Nie trudno skrócić nogę albo pogubić zęby.

Trzeba będzie wyjednać im zwiększenie kontyngentu elektryczności – szperał po omacku, szukając włącznika – przynajmniej na czas trwania delegacji. Bo w tych ciemnościach...

Wreszcie przesunął ebonitowy hebelelek. Z wysokiego sufitu spłynęła mdła poświata, rozładniając mrok. Ale pod ścianami ulegał jeszcze większemu zagęszczeniu. No cóż, piętnastka – do tego pewno popstrzona przez muchy do zupełnej utraty przezroczystości. W tym domu chyba od wielu lat nikt nie robił gruntowniejszych porządków.

Szczęknięła cicho klamka. Przez wpół uchylone drzwi wyrzała mała figurka w szlafroku i czepku nocnym.

– Kto tu?

– To ja.

– Teofil?

– Tak.

Przekroczyła próg. W żółtawym świetle twarz ciotki Eleonory wyglądała wprost przerażająco. Była o dobrych kilka lat młodsza od swej siostry, lecz robiła wrażenie dużo starszej.

– Czekałam na ciebie.

– Na mnie? – zapytał ze zdumieniem.

– Tak. Chciałabym z tobą porozmawiać o czymś, co... nie powinno dotrzeć do trzecich uszu. Dlatego więc...

Podszedł bliżej. To brzmiało już zupełnie tajemniczo. Co tu zresztą nie było tajemnicze?

– O czym?

– Jan... – nagle urwała. Za załamem korytarza trzasnęły drzwi. Słysząc było czyjeś szybkie kroki.

Po twarzy jej przemknął wyraz niemal przerażenia.

– Jutro... Powiem ci kiedy... Teraz idź stąd... Nie chciałam... Zamknęła cicho drzwi.

Zza węgła wyszedł Wiktor. Cień o załamanych konturach zachybotał groteskowo po ścianie.

– Jesteś sam? – w oczach ni to zdziwienie, ni to podejrzliwość – byłem pewny, że z kimś rozmawiasz?

– Uh... hm... Zakląłem, bo wlałem na jakiś grat. Ciemno tu jak w piekle!

Wzruszył ramionami, a cień przedrzeźnił jego ruch.

– Ciemno... masz rację. I to, że jak w piekle, też masz rację – dorzucił głucho.

Stał jeszcze chwilę. Wargi jego drgały, jakby chciał powiedzieć coś więcej.

Nagle targnął głową i zupełnie bezsensownym ruchem przygładził ulizane włosy.

– Bywaj, na mnie już czas – ruszył szybko w kierunku schodów.

Słysząc było jak zbiegał z nich, przeskakując po parę stopni.

Teofil nacisnął klamkę łazienki. Ten też ma chyba kręćka. Czy w ogóle w tym domu jest ktoś zupełnie normalny?

ROZDZIAŁ IV

Od razu, gdy spojrzął na twarze zgromadzonych w hallu, poznał, że musiało zajść coś niezwykłego.

Wiktor uniósł jakby z wysiłkiem głowę. Oczy zamglone.

– Ciocia Eleonora umarła.

Teofil drgnął.

– Eleonora? – oparł dłonie o kant wysokiego, bogato rzeźbionego krzesła.

– Tak.

– Kiedy? – zamrugął powiekami.

Irena przytknęła szklankę do ust... Zęby zadzwoniły cienko po szkło.

– O... o dziesiątej rano, kiedyś był w biurze.

Rylski gwałtownie wyciągnął automatyczny ołówek z taką pasją, jakby go za wszelką cenę postanowił przełamać.

– Tak – potwierdził – coś około tego. Oczywiście różnicy godziny czy dwóch nie można wykluczyć. Dopiero po południu ktoś wszedł do jej pokoju.

– Ja weszłam. Ja... – głos Zofii zabulgotał.

Teofil przyciągnął krzesło i opadł nań bezwładnie.

– Ale przecież jeszcze wczoraj... – sięgnął po karafkę, nalał wody do filiżanki i wychylił jednym haustem.

Rylski spojrział na ołówek, jakby go widział po raz pierwszy w życiu.

– Cóż... śmierć jej nie stanowiła dla mnie żadnej niespodzianki... Tego rodzaju wstrząs przy tym stanie serca...

Teofil znowu nalał sobie wody i wypił.

– Wyglądała wprawdzie bardzo źle, ale żeby aż...

Rylski pokiwał głową.

– Nie tylko wyglądała. Było z nią rzeczywiście bardzo źle. Każdej chwili oczekiwałem katastrofy, nie chciałem tylko...

Przy stole zapadła przeciągła cisza.

– Hm... tak – odchrząknął Maciąg. Wydobyl pudełko z papierosami, w którym grzebał zadziwiająco długo. – Tylko piorun podobno nigdy nie uderza dwa razy w to samo miejsce. Śmierć za to lubi powracać. – Zapalił. – Zresztą – podjął po chwili przedzielając słowa kłębami dymu, jakby swoistymi znakami przestankowymi – w to z piorunem, też niezbyt wierzę. I kula trafia niekiedy w to samo miejsce, i pocisk. Dlaczego by więc... – urwał zaciągając się głęboko.

Teofil przełknął głośno ślinę.

– Takie wrażenie wywarła na niej śmierć stryja?

– Raczej śmierć jako taka – sprostowała Anastazja. Żrenice jej były bez wyrazu, tylko gdzieś w głębi pełgały błędne ogniki. Zauważył je zresztą jeszcze za życia stryja – a to, kogo mianowicie dosięgła... – strzepnęła jakiś okrucz z obrusa.

Wiktor położył obie dłonie na stole. Wąskie, rasowe, o długich kształtnych palcach rażąco nie pasowały do połamanej postaci.

– Śmierć ani odeszła, ani powróciła – patrzył gdzieś w przestrzeń. Ona tu przebywa stale. Czyha w każdym kącie, w każdym sprzęcie, w powietrzu, wszędzie.

– Nie opowiadaj herezji – sarknęła ostro Anastazja – śmierć jest jedynie wykonawcą wyroków bożych.

Teofil przesunął dłonią po kieszeniach. Gdzież te przeklęte papierosy!? Nie mógł ich znaleźć. W końcu sięgnął do leżącego obok pudełka Maciąga.

– Masz na myśli to, co tu zaszło w czasie okupacji? – przytknął zapalniczką.

– Nie tylko. Po wypędzeniu Niemców zamieszkał w tym domu niejaki Jakubowski. Niedługo wytrwał w atmosferze tej... trującej mgły, zatęchłej pomiędzy tymi ścianami. Zadusiła go...

Teofil patrzył na niego szeroko rozwartymi oczyma.

– Jak to zadusiła?

– Zwyczajnie. Zamordowano go któregoś wieczoru.

– To już całkiem wyssane z palca – zaoponował Maciąg – śledztwo ustaliło, że popełnił samobójstwo.

Wargi Wiktora wykrzywił trudny do określenia grymas.

– Pha... śledztwo – mruknął lekceważąco.

– W jaki sposób umarł? – Teofil rzucił pytanie gdzieś pomiędzy nich.

Odpowiedział zresztą Maciąg.

– Wsunął głowę w pętlę. Na strychu. Pijak nie z tej ziemi. Raz po raz miewał ataki delirium. Nie mieliśmy najmniejszych wątpliwości co do charakteru śmierci. Żeby tylko wszystkie sprawy były tak przejrzyste...

– Przejrzyste – Wiktor powstał znużonym ruchem – dla was wszystko jest przejrzyste... I jakże często nie miewacie wątpliwości tam, gdzie może nie zaszkodziłoby ich poszukać dokładnie.

Wyszedł cicho.

Słowa zabrzmiały tak jakoś wstrząsająco, że Teofil bezwiednym ruchem ściągnął marynarkę na piersiach. Jakby z jakiegoś kąta powiało nagłym chłodem.

– Śmierć jest granicą pomiędzy dwoma światami – powiedziała chropowato Anastazja – i gdy ktoś tę granicę przestąpi, jakież znaczenie może mieć przyczyna?

ROZDZIAŁ V

Wystawy poza zakurzonymi witrynami były wprost tragiczne. Ściany domów czerniały liszajami odpadniętych tynków. Płyty chodnikowe potrzaskane, pełne wybojów. W wielu miejscach zresztą świeciły zupełną nieobecnością. Może tylko zatoneły pod wieloletnimi warstwami lepkiego, czarnego błota?

Zalany w pestkę jegomość trwał wpatrzony ponuro w rynsztok, wybuchając od czasu do czasu potokiem zawiłych przekleństw. Nie zdradzał jednak żadnych agresywnych zamiarów. Prawdopodobnie nie byłby ich w stanie wprowadzić w życie, gdyby było przeciwnie.

Doktor Jerzy Kostrzewa ziewnął, odrzucił szerokim łukiem niedopałek i spojrzał na wskazówki zegarka.

Pozostawało jeszcze przeszło trzy godziny. Co z nimi począć? Niemal żałował, że przystał na tę wycieczkę. Wprawdzie odpoczynek wśród szumiącego boru już po trzech dniach zaczął mu wylaźić boki, ale tu co? Że też bywają jeszcze takie zakazane dziury! Niby powiatowe miasto, niby siedziba władz, niby zakłady przemysłowe i lichy wie co jeszcze, a w rezultacie...

Zawrócił, kontynuując bezcelowy spacer wzdłuż czworoboku rynku. Przystanął przed wystawą cukierni. „Basia”? Ciastka pewno tak samo zakurzone jak wszystko. Co tam! I tak nie miał nic lepszego do roboty.

Utlenione loki i zalotne spojrzenie znad kontuaru. „Wydra” – stwierdził niechętnie. Ale w rezultacie co go to obchodzi? Nie szukał przecież towarzystwa wyranżerowanych kociaków.

W kawiarni było pełno. Z trudem dotarł do stolika w rogu.

– Duża czarna i czasopisma – rzucił nijaki uśmiech w przestrzeń. Do ciastek jakoś nie mógł nabrać przekonania.

Podawał mu prowincjonalne wydanie warszawskiej gazety. Czytał ją już w leśniczówce.

– Może jakieś ilustrowane?

– Chwilowo w czytaniu. Gdy tylko ktoś skończy...

Tym razem zaadresował uśmiech wprost do niej. Odpowiedziała powściągliwie. Może i nie taka wydra. W każdym razie uprzejma jak rzadko. I cóż właściwie winna biedaczka, że go roznosi nuda?

– Ciastka, hm... macie świeże?

Spojrzała z urazą.

– U nas nie ma starych. Sam pan przecież widzi jaki ruch. Pod wieczór nie pozostaje przeważnie nic oprócz keksu.

– W takim razie poproszę dwa... nie, niech będzie trzy. – W leśniczówce ciastek ani na lekarstwo, więc choć pod tym względem niech będzie jakaś odmiana. Hm... Nogi wcale, wcale. I ruchy niespodziewanie zgrabne.

Smak kawy wtrącił go z powrotem w otchłań złego humoru. Czysta cykoria... No tak, nylony, pantofle na słupkach, to wszystko kosztuje. Ale żeby choć kilka drobinek, dla zapachu. Ostatecznie trzeba przestrzegać pewnych granic przyzwoitości.

Ciastka pewno też na łożu. Licho wie. Patrzył podejrzliwie.

– Jak Boga kocham, Jerzy! – Jakiś mężczyzna wymijał niezbyt zręcznie stoliki. Spojrzał z ciekawością. Panujący na salce półmrok utrudniał dokładniejsze oględziny, ale twarz niewątpliwie znajoma. „Jerzy”? A więc jakiś kolega... No tak, konspiracyjny uniwersytet, Teodor?... Nie, Teofil. I nazwisko jakieś chyba od siana. Siennicki? Zanim dotarł, zdążył wyłuskać już z pamięci wszystko, co go dotyczyło.

– Poznajesz mnie?

Oczywiście – uściśnął z wylaniem dłoń – kopę lat!

Wprawdzie znajomość z Teofilem Sieńskim nie trwała długo i właściwie nigdy za nim specjalnie nie przepadał, ale w dzisiejszym nastroju ucałowałby nawet samą ciotkę Gabrielę, o której normalnie uciekał niczym od ognia. Rozmowa, jak zawsze w tego rodzaju przypadkach, początkowo polegała przeważnie na oderwanych wykrzyknikach. „A pamiętasz jak to...” „A co słyszałeś z...”?

Powoli jednak nabierała płynności, podchodząc ku bliższym czasom.

– Ach prawda – zawołał w pewnym momencie Teofil – przecież to właśnie ty jesteś tym sławnym...

Kostrzewa machnął ręką.

– Tylko nie kpj proszę – że tam jedna czy druga sprawa... Żle by było, gdybyś nie znalazł wśród nas o wiele sławniejszych.

– Odpowiadaj komu innemu. Bo to nie czytałem?

– W tym właśnie sęk – trochę pochmurniał – w ogóle niepotrzebnie piszą, bo wiesz, nie każdy zawód znosi reklamowanie urbi et orbi, a poza tym przeważnie wysysają większą część historii na poczekaniu z palca. W rzeczywistości to wszystko nawet w setnej części nie wygląda tak romantycznie, ani tak... sensacyjnie. Praca, żmudna praca szarych komórek mózgowych, jak i w każdym innym zawodzie wymagającym myślenia.

Potrząsnął z przyjaznym niedowierzaniem głową.

– Nie bądź no taki skromny. Pracujesz nadal w tej dziedzinie?

– Fach ten sam, tylko zakład inny. Mija właśnie rok od chwili, gdy przeszedłem do milicji. I właśnie z tego powodu sterczę tutaj jak na wygnaniu.

– Śledztwo? – zniżył głos.

– Żeby to. Stokroć gorzej. Nasz urzędowy konował...

– Konował? – powtórzył – nie kryjąc zdumienia. – Nie rozumiem.

– A kto by zrozumiał? Nawet ja sam, choć to przecież chodzi o moją własną skórę. No, faktem jest, że trochę zasłabłem. Na moje nieszczęście akurat przy urzędowym biurku. Przyleciał, narobił zamieszania na całą komendę. „Kompletne wyczerpanie nerwowe, to po prostu skandal, żeby dojść aż do takiego stanu. A jeszcze doktor medycyny...” Zanim zdążyłem mu przemówić do rozumu, już miałem zdrowotny urlop w kieszeni.

„Absolutny spokój, cisza i niechby choć najgorsze nudy”.

– Więc jestem. A że na brak nudy trudno by narzekać, to fakt.

– W miasteczku?

– Gorzej. W leśniczówce, o trzydzieści kilometrów. Jeden z moich przyjaciół i tak dalej. Rozumiesz? Taka jednym słowem historia z geografii. Spokoju mi nie brak. Chłop siedzi po uszy w papierzyskach, bo u nich więcej sprawozdawczości niż czego innego, a człowiek po całych dniach nie ma do kogo gęby otworzyć. Zabrał mnie teraz ze sobą, widząc, że już ze skóry wyłażę. Ale długo nie wytrzymam, szkoda gadać. Niechby mi nawet stu konowałów wlało na kark, prysnę, gdzie pieprz rośnie.

– Dawno tu jesteś?

– Hm... Według kalendarza to niezbyt. Ale mam wrażenie, że gniję od całych miesięcy. Jeszcze trochę i zamiast wyczerpania wyjadę z melancholią według wszelkich prawideł sztuki medycznej. Jedno za drugie.

– Hm... jeśliś mógł mi poświęcić kwadrans czasu... Taka dosyć dziwna historia... Zresztą czy ja wiem.

Spojrzał na niego z nagłym zaciekawieniem.

– Kwadrans? Choćby nawet i dziesięć. Mój amfitrion zapowiedział, że przed siódmą za nic nie zdoła wybrnąć z tego, co ma do załatwienia. A przesiedzi na pewno do ósmej. Więc?

Teofil zerknął przez ramię. Goście od sąsiedniego stolika już odeszli. Następne stały zbyt daleko, by ktoś z siedzących przy nich mógł usłyszeć. Dla wszelkiej pewności zniżył głos.

– To widzisz... No, jednym słowem, przed kilku miesiącami otrzymałem list od swego stryja, Jana Sieńskiego, z którym od wielu lat nie utrzymywałem żadnych kontaktów. Nie wiedziałem nawet, prawdę mówiąc, czy żyje. Mój nieboszczyk ojciec z hm... pewnych powodów zerwał z nim wszelkie stosunki. List był bardzo dziwny. Otóż zapowiadając jakieś niezmiernie rzekomo dla mnie ważne rewelacje, żądał w formie dość kategorycznej mego przyjazdu.

– Dokąd?

– Właśnie tutaj. Zapomniałem ci bowiem powiedzieć, że mieszkam stale w Warszawie, a tu jestem tylko na delegacji. Ma wprawdzie potrwać czas dłuższy, ale tak czy inaczej jest to tylko pobyt czasowy. Zachodziłem w głowę, co to wszystko mogło znaczyć. Człowiek, jakby nie było, prawie zupełnie obcy i naraz... Co właściwie mógł mieć ze mną wspólnego? List schowałem pomiędzy szpargały i nie pojechałem, choć trochę mnie to nurtowało. Wkrótce zostałem delegowany do zakładów farmaceutycznych akurat w tym mieście. Wówczas przypomniałem sobie o stryju i jego liście. Zaraz po przyjeździe poszedłem pod wskazany adres. Stryj Jan, zresztą nawiasem mówiąc, zdumiewająco podobny do mego ojca, przyjął mnie w sposób niezmiernie tajemniczy. Że owszem, ma mi do zakomunikowania rzecz niezmiernie wagi, ale musi znaleźć odpowiednią okazję do rozmowy, bo nie chciałby, aby ktoś w domu powziął jakieś domysły. Nic bliższego pomimo moich nalegań na ten temat nie powiedział. „Później” – to było wszystko, co od niego usłyszałem. A trzeba ci wiedzieć, że stryj był typem, którego żadna siła nie potrafiła skłonić do zmiany raz powziętej decyzji. Ponieważ mieli wolny pokój, a akurat zaczęto mocno przebąkiwać o zagęszczeniu, zaproponował mi, bym na czas delegacji zamieszkał u nich... Skorzystałem z zaproszenia, ale było mi trochę głupio. Bo ta tajemnica... Po trzech dniach wreszcie szepnął w przelocie – „dziś po kolacji”. – Ale właśnie tego dnia... – opowiedział o tragicznej scenie na schodach.

Kostrzewa słuchał z rosnącą uwagą, paląc papierosa za papierosem.

– Więc przyczyną śmierci było zmiażdżenie czaszki o żelazny koszyk?

– Nie. Doktor Ryłski stwierdził, że stryj zmarł wskutek ataku sercowego i spadł ze schodów już po śmierci.

– A co wykazała sekcja?

– Nie było sekcji – opowiadał dalej o przebiegu wypadków.

Kostrzewa tarł podbródek, przetrawiając w myśli szczegóły.

– Hm... stwierdził przyczynę zgonu na podstawie stężenia twarzy w momencie upadku?

– Tak.

– Czy leczył przedtem nieboszczyka?

– Jest domowym lekarzem całej rodziny. Przychodzi codziennie. Chyba łączy go coś z Ireną.

– Coś bliższego?

– Czy ja wiem. Niekiedy sprawia wrażenie, jakby byli kochankami, kiedy indziej zaś można by przysiąc z czystym sumieniem, że to tylko kompani od zabaw. Łażą do kina, na potańcówki, do restauracji... Jeżeli wiążą ich rzeczywiście bardziej intymne stosunki, to trzeba przyznać, że nie wystawiają ich na pokaz. – Następnie odmalował spotkanie z ciotką Eleonorą w korytarzu.

– Siostra stryja?

– Nie. Jego szwagierka. Właściwie jak dla mnie żadna krewna. Ponieważ jednak wszyscy w domu nazywali ją „ciocią”, jakoś nie wypadało mówić do niej „pani”. Widocznie stryj musiał jej zakomunikować wszystko, co dotyczyło tej tajemniczej wiadomości przeznaczonej dla mnie. I gdyby nie nadejście Wiktora... Również i z jej zachowania widać było wyraźnie, że trapi ją twoga, by ktoś z domowników nie usłyszał ani słowa. Zapowiedziała jednak, że nazajutrz powie mi, o co chodzi. Ale następnego dnia, gdy wróciłem z pracy, już nie żyła. Atak serca.

– Przyczynę zgonu stwierdził również doktor Ryłski?

– On. Jak ci już powiedziałem, leczy tam wszystkich.

– Dawno to wszystko miało miejsce?

– Około dwóch miesięcy. Dokładniej siedem tygodni.

– I od tego czasu nikt nie napomknął o tej tajemniczej wiadomości dla ciebie?

– Nikt. Ci dwoje zabrali ze sobą zagadkę do grobu. Choć... czy ja wiem. Wszyscy ci ludzie są jacyś tacy dziwni...

– Dziwni?

– Dziwni... Jakby... To zresztą trudno określić. Aha!... zapomniałem dodać, że stryjenka bezpośrednio po tragicznym wypadku mówiła coś o „ręku Boga”, czy czymś w tym rodzaju. Sam przyznasz, że chyba dość niezwykła reakcja na śmierć męża, z którym przeżyła pół wieku. Szczególnie, gdy następuje w tego rodzaju okolicznościach. Ale ona często przemawia w taki sposób, jakby odczytywała biblię. Chyba ma bzika na tym punkcie. A i reszta... Wziąć choćby Wiktora. Całkiem zwariowany na punkcie swych wynalazków. Świącie przekonany, że jest na drodze odkrycia czegoś rewelacyjnego... Zapoznany geniusz w pełnym tego słowa znaczeniu.

– Z jakiej dziedziny? – zapytał Kostrzewa.

– Chemia. Nie potrafi rozmawiać o niczym innym. Ustawicznie powtarza, że gdyby potrafił zdobyć dostateczną ilość pieniędzy na budowę aparatów, zadziwiłby cały świat. Zresztą... – urwał.

– Zresztą? – ponaglił go niecierpliwie. Sprawa interesowała go coraz mocniej.

– Nno... w ostatnich czasach musiał jednak zdobyć pewną sumę. Dostarczono mu część aparatów.

– Już po śmierci stryja?

– Chyba tak. Przyniesiono je przed paroma dniami. Widziałem raczej przelotnie, bo jest bardzo zazdrosny o tajemnice swego laboratorium. Machiny o dość skomplikowanej konstrukcji. Musiały kosztować ładny kawał grosza. Sam jestem do pewnego stopnia chemikiem, więc te sprawy nie są dla mnie obce. Uderzyła mnie przy tym pewna okoliczność...

– A mianowicie?

– Otóż stryj prowadził dom na dość wysokiej stopie. Powiedziałbym nawet na bardzo wysokiej, jak na dzisiejsze warunki. Wina, koniaki, likiery, czarna kawa niemal do każdego posiłku. To przecież nie bułka za grosz. Sam nigdzie nie pracował. Stryjenka również. Widać, musiał mieć znaczne zapasy z lepszych czasów. Złoto, waluty... czy ja wiem co zresztą. A na trzeci dzień po jego śmierci Zofia zapytała mnie na osobności, czy przypadkiem nie wiem, jaki jest kurs złota. Gdy powiedziałem, że to zależy od wyrobu, pokazała ciężką bransoletkę z

monogramem „A.S.”, wysadzonym brylantami. Rzecz jasna, że należała do stryjenki. W ogóle gdybyś mógł popatrzeć bliżej na to wszystko... Bo i sam dom też jakiś niesamowity.

– Dom?

– Tak. To coś w rodzaju pałacyku na przedmieściu. Przed wojną należał do znanych przemysłowców Silberweisów, właścicieli zakładów, które właśnie teraz uruchamiamy. W czasie okupacji wprost nieprawdopodobnie długo zdołali uniknąć prześladowań. Widocznie musieli mieć ciężkie zapasy walut i wiedzieli, gdzie z nimi trafić. Dokoła szalał terror, Żydów wywożono do komór gazowych, a pałacyk Silberweisów trwał jakby jakaś eksterytorialna wysepka. Byli tak pewni swego bezpieczeństwa, że nawet pościgali krewniaków z innych miast. Aż którejś nocy dom otoczyli esesmani i wymordowali wszystkich, nie zadając sobie nawet trudu wyprowadzenia nieszczęśników na dwór. Prawdopodobnie Silberweisowie, przekonani o wszechmocy Gestapo, zapomnieli o esesmanach. Może zresztą była jakaś inna przyczyna. Dość, że cały dom spłynął wtedy dosłownie krwią. Potem rozpoczęto poszukiwania skarbów, o których było głośno w całym miasteczku. Podziurawiono mury, zburzono kilka ścian działowych, przekopano centymetr po centymetrze cały ogródek, nie znaleziono jednak nic. Poszukiwania zresztą, jak mam wrażenie, trwają do dziś dnia.

Kostrzewa podniósł głowę.

– Jak to?

– Nno... chyba nie ma nocy, by ktoś nie łąził po domu. Słysząc kucie ścian, odsuwanie mebli i diabli wiedzą co jeszcze.

– Hm... a w jaki sposób reagują na to domownicy?

– Otóż w tym sęk, że wcale nie reagują. Jakby nagle wszyscy ogłuchli. Cała historia, jak widzisz, dość niecodzienna. Przynajmniej takie robi wrażenie.

– Owszem, trudno zaprzeczyć.

– I gdybyś zechciał...

Po wargach Kostrzewy przewinął się uśmiech.

– Muszę przyznać, że potrafiłeś mnie zapalić. Bo może zwykły zbieg okoliczności, a może... Ale nie bardzo widzę możliwości. Materiał niewątpliwie ciekawy, zbyt jednak słaby do wszczęcia śledztwa. Zresztą jestem na urlopie, niezależnie od tego zachodzą powikłania terenowych kompetencji i tak dalej.

– A jeśliby na własną rękę?

– Jako coś w rodzaju prywatnego detektywa?

– Czyż w nazwie rzecz? Jeśli zdołasz uchwycić jakąś konkretną nić w garść, to wówczas...

Medytował dłuższą chwilę.

– To wcale nie takie proste. Gdy człowiek działa oficjalnie, praca wygląda zupełnie inaczej. A tak, bez żadnego zaplecza... Intruz, którego można odpędzić kopniakiem.

– Nie byłoby przecież aż tak źle. Oficer śledczy o takiej sławie...

Kostrzewa podniósł rękę.

– Czas przeszedł, mój drogi. Obecnie tylko ekspert. Jak widzisz, nawet w samym tytule nie pozostało nic z sensacji. Naukowe badania i tak dalej. Jeżeli jednak chodzi o romantyzm... No, ale wracając do rzeczy, gdybym przystał na twój hm... niezwykle pomysł, czy mógłbyś mi ułatwić dostęp do tego „tajemniczego domu”? Nie zapominaj, że byłbym w takim przypadku zupełnie prywatnym człowiekiem, który nie ma żadnego papierka z pieczęcią, by zaświecić w razie czego w oczy niegościnnym gospodarzom.

– Nie tylko dostęp, ale nawet zamieszkanie.

– Ooo? W jaki sposób?

– W całkiem prosty. Po śmierci stryja i ciotki metraż jest wykorzystywany w sposób zatrwajająco niedostateczny. Drżą, by im nie wpakowali kogoś obcego. Jestem pewien, że przyjmą cię z otwartymi ramionami.

Kostrzewa znowu wpadł w zadumę. Propozycja była niewątpliwie bardzo nęcąca, ale działać jako człowiek niepowiązany z urzędem? Nie tak łatwo przyjdzie dostosować swe posunięcia do tej roli. I w razie zdemaskowania groziły różne nieprzyjemne komplikacje. Co innego niebezpieczeństwo, ale niezmiernie głupia sytuacja, jaka tu mogłaby wyniknąć. Z drugiej jednak strony...

– Powiedzmy, żebym na to poszedł...

Teofil nie ukrywał radości.

– Więc zgoda?

– Powiedzmy. Ale w takim razie będę występować jako doktor medycyny, Jerzy Kostrzewa, i nic poza tym.

– Incognito? – przeciągnął.

– Tak.

– Uważasz to za konieczne?

– Bezwzględnie. Ekspert Komendy Głównej, prowadzący w czasie urlopu śledztwo na własną rękę? Sam tylko pomyśl, jakby to wyglądało?

– Hm...

– I jeśli w całej tej historii rzeczywiście tkwi jakaś zagadka o posmaku kryminalnym, to co za sens uprzedzać tych, co maczali w niej palce? Dowód osobisty zaś mam absolutnie „czysty”. Ani słowa o moim obecnym zajęciu. Doktor medycyny i kropka.

Teofil podniósł szklankę do ust i pił długo drobnymi łykami.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI